

ŻYĆ TO DZIĘKOWAĆ

Gdy przyjmuję siebie samego od Boga jako Jego dar, obdarzam Boga – mocą tego przyjęcia – nie tylko mną samym bez reszty, lecz obdarzam Go także, owszem, przede wszystkim, samym Bogiem bez reszty! Boga Bogiem obdarzam, gdy przyjmuję się odeń jako Jego dar! Czyż nie to właśnie znaczy: Bogu Stwórcy dziękować za siebie – jak trzeba?

Pawłowi VI w podzięcie

WPROWADZENIE

a) CO TO ZNACZY DZIĘKOWAĆ?

„Dziękuję”. Słowo to wypowiadam, gdy przyjmuję coś od kogoś w darze.

Wdzięczność zatem to – jeśli już respektować intuicje stojące za sposobem używania słowa „dziękuję” w języku potocznym – postawa wobec daru i jego dawcy. Jest to postawa przyjęcia daru z rąk jego dawcy. Rozumiem, co znaczy dziękować, gdy rozumiem, co znaczy: przyjąć dar. Cóż to więc znaczy: przyjąć dar?

Tak jak dar nie byłby właściwie darem, gdyby w nim i przezeń nie współdarował się w jakiś sposób sam dawca obdarowywanej osobie, tak też i wdzięczność nie byłaby właściwie wdzięcznością, gdyby nie była takim daru przyjęciem, poprzez które przyjmowany jest w pewien sposób również sam obdarowujący. Chleb, jaki kładę przed osobą, którą zapraszam do mego stołu, nie jest darem, jeśli stwarzam sobie przez to jedynie okazję do załatwienia z nią jakiejś sprawy. Nie jest właściwie też jeszcze darem, gdy daję go drugiej osobie tylko dlatego, że mam go w nadmiarze, że mi go zbywa. Darem staje się chleb dopiero przez to, że dzieląc go z drugą osobą dzielę się z nią niejako częścią samego siebie: tym, kogo włożyłem w trud, dzięki któremu mogę ją teraz zaprosić i proszę do swego stołu. Dlatego nie jest chyba przypadkiem, że zapraszając kogoś do swego domu na posiłek mówimy: „Wejdź do mnie!” To samo dotyczy – mutatis mutandis – przyjęcia zaproszenia. Zaproszenie przyjmuje ten, kto podejmując je żywi gotowość dzielenia z zapraszającym samego siebie, przyjmując dar dzielenia z nim jego chleba. Dziękuję, gdy obdarzam przyjęciem daru, przyjęciem dawcy w jego darze, przyjęciem, poprzez które obdarzam go samym sobą.

Tak oto zarówno złożyć dar, jak i dziękować za dar to afirmować osobę dla niej samej, czyli miłować ją w tak oto wyróżniony i wyróżniający zarazem sposób. O obdarzaniu i wdzięczności można zatem mówić właściwie tylko w ramach wzajemnej bezinteresownej miłości pomiędzy osobami: obdarowującą i przyjmującą dar. Obdarzanie i dziękczy-

nienie jest tejże miłości najwłaściwszym sposobem wyrażania i urzeczywistniania. Oto dlaczego poza jej ramami wszelkie prezenty czy upominki, nawet bardzo kosztowne, nie zasługują ściśle mówiąc na nazwę daru, ich przyjmowanie zaś, nawet gdy mu towarzyszą powszechnie stosowane w tych okazjach gesty czy słowne konwencje uchodzące obiegowo za znak okazywania wdzięczności, nie zasługuje właściwie na nazwę wdzięczności. „Czy nie zechciałbyś przyjąć mnie w mym darze?” – oto co chciałby powiedzieć bez słów ten, kto naprawdę obdarza. „Ciebie przyjmuję przyjmując twój dar” – oto co mówi ten, kto dar naprawdę przyjmuje, nawet jeśli nie wypowiada słowa „Dziękuję!”

Jeśli w powyższych stwierdzeniach wyraziłem treść wspólnych z Czytelnikiem – a nie mych osobistych tylko – intuicji, to powinniśmy chyba – razem już – wyciągnąć stąd wniosek, że autentyczna wdzięczność nie jest chyba tak częsta (choć może się urzeczywistniać również bez uzewnętrzniających ją znaków!), a pierwszej jeszcze wniosek, że nie za częsty jest autentyczny – prowokujący do autentycznej wdzięczności – dar. Nieczęsty, bo trudny po prostu. To bonum arduum! Czy to, co wygląda na dar, nie bywa niekiedy aktem subtelного manipulowania drugą osobą, rodzajem kupowania sobie jej sympatii lub wpływów, zabezpieczania przy jej pomocy – a więc jakoś jej kosztem – własnych interesów, czy wręcz aktem agresji, owszem, próbą jej – najbardziej wyrafinowanego, bo najtrudniejszego do taktownego odparcia – zawłaszczenia? Chyba że obie strony cały obszar daru i dziękowania za dar traktują z góry li tylko jako sferę konwenansu, jako rodzaj gry towarzyskiej, owszem obopólnie korzystnej, która jednak nie prowadzi do zaciągania głębszych więzi międzyosobowych i która – jak każda zabawa – kończy się z chwilą, gdy partnerzy decydują się ją przerwać. Czy więc cała dziedzina daru i dziękowania nie należałoby opatrzyć smutną uwagą, jaką św. Tomasz z Akwinu odniósł do całej zresztą dziedziny moralności: „Pau-corum est enim vita vere moralis”?

b) CZY WDZIĘCZNOŚĆ JEST MOŻLIWA?

Co do mnie, to z jednego jeszcze powodu uważałem – i to przez długi czas, że człowiek właściwie nie jest zdolny do tego, by dziękować, jak trzeba, gdy staje wobec daru. Myślałem tak dlatego, że nie sądziłem, by zdolny był dziękować Temu, komu przede wszystkim dziękować powinien, czyli Bogu. Wszystko bowiem, cokolwiek człowiek otrzymuje od kogokolwiek innego w darze, otrzymuje to w końcu od samego Stwórcy. W obliczu zaś Stwórcy człowiek jest po prostu potrzebą, potrzebą par excellence. Czy jest więc w stanie, myślałem, zwrócić się do swego Stwórcy inaczej niż tylko z motywów zaspokajania swych własnych potrzeb, inaczej niż tylko interesownie? A zatem: Czy jest w stanie dziękować Bogu, jak trzeba? Podkreślałem słowa: „jak trzeba”. Aby Bogu dziękować, jak trzeba, myślałem, Bogiem by

być trzeba. Stąd, sądziłem, niemożliwą wręcz – a nie tylko trudną – rzeczą jest dziękować komukolwiek za cokolwiek, zwłaszcza zaś za dar osoby, jak trzeba, skoro niemożliwą rzeczą jest dziękować Bogu, jak trzeba...

Myślałem tak do czasu, aż spotkałem w moim życiu Jana Sebastiana Bacha. To on wprowadził małą rewolucję w moje myślenie o wdzięczności. Zachwiał na dobre moimi – nie tyle pewnościąmi ile – wątpliwościami. Chciałbym tedy poniżej opowiedzieć najpierw o tym moim z Bachem spotkaniu. Potem zaś chciałbym wrócić do tematu wdzięczności od strony odkrycia w człowieku pewnych możliwości, których poznanie i uaktywnienie staje się dla niego sprawą rzędu „być albo nie być” uzyskania lub ocalenia swej tożsamości jako człowieka: sprawą odkrycia i wyboru prawdy o samym sobie. Może okaże się to także skromnym przyczynkiem do pokazania, iż człowiek może – a zarazem bezwzględnie powinien – dziękować Bogu... jak trzeba. „Vere dignum et iustum et aequum est gratias agere Deo!” Et aequum, czyli właśnie... j a k t r z e b a. Tak głosi hymn dziękczynienia, zwany prefacją, a śpiewany na progu przeistoczenia, szczytowego momentu Eucharystii. Znamienne, Eucharystia – znaczy także dziękczynienie.

1. SPOTKANIE Z BACHEM

Nie wiem dokładnie, kiedy nastąpiło moje pierwsze zetknięcie się z Janem Sebastianem Bachem. Wiele w każdym razie już o nim słyszałem i wiele razy go słuchałem, zanim sam uległem urokowi jego *Małych preludiów na fortepian*. Grałem je, gdy w czasie studiów teologicznych na Uniwersytecie Jagiellońskim w Krakowie uczęszczałem również na lekcje fortepianu i harmonii do niezapomnianego profesora Pawła Masteli. Chyba dlatego nie zdziwiło mnie wcale, gdy jakiś czas potem dowiedziałem się – za pośrednictwem Jarosława Iwaszkiewicza – że Chopin poprzez swe 24 etiudy na fortepian chciał złożyć hołd twórcy preludiów i fug zbioru *Das wohltemperierte Klavier*¹. Po prostu dziękował Janowi Sebastianowi.

Ale spotkanie spotkaniu nie jest równe. Tak też i moje spotkanie z Bachem, to, o którym chcę opowiedzieć, nastąpiło znacznie później. Nastąpiło ono w czasie słuchania jego *Mszy h-moll*. Nawiasem mówiąc również Iwaszkiewicz wyjaśnił mi zagadkę, dlaczego Bach, protestant przecież, skomponował mszę katolicką. Miała ona uświetnić uroczystość koronacji księcia saskiego Augusta na króla Polski w krakowskiej katedrze na Wawelu, gdzie jednak nie została wykonana². Za to ja „wykonywałem” ją sobie bez końca z płyty – słuchając jej w Nałęczowie pod Lublinem w trakcie korekty tekstu mej pracy habilitacyjnej. Słuchałem jej więc z podzieloną tylko uwagą. Od pewnego jednak momentu zacząłem mimowolnie przerywać pracę, gdy zbli-

¹ J. Iwaszkiewicz, *Jan Sebastian Bach*, Kraków 1967, s. 86–87.

² Tamże, s. 53–56.

żał się pewien fragment dzieła. Fragment ten wymagał mej całkowitej uwagi, całkowitej koncentracji. Słuchanie utworu stawało się z czasem wyczekiwaniem na ten jego fragment. Poprzez ten fragment zacząłem widzieć poniekąd całość dzieła. Dokładniej. Poprzez jego muzykę. Uwagi mej bowiem wciąż jeszcze uchodziły towarzyszące tej muzyce słowa. Dość to pogańska – jak na księdza – kolejność rzeczy. Może jakoś przeczuwałem sens słów za pośrednictwem muzyki? A więc... bez słów? Gdy jednak nagle i one, słowa, zjawily się w polu mej świadomości, przeżyłem wstrząs. Wstrząs niespodzianki. Pomimo wszystkich przeczuć było to bowiem kompletne zaskoczenie.

Od wielu lat byłem przecież kapłanem. Trudną do zliczenia ilość razy recytowałem lub nabożnie śpiewałem hymn *Gloria in excelsis Deo*, a w nim słowa: „Gratias agimus Tibi propter magnam gloriam Tuam”. Ale do tej pory nie zauważyłem, by ktoś tak oto Bogu dziękował: nie za to, co od Niego otrzymał i czego potrzebował, lecz za to, co tak bardzo Boże, co iście Boskie, za własną Boga wspaniałość, za Jego własną chwałę: *propter magnam gloriam Tuam!* I, być może, nie odkryłbym do dziś niezwykłego sensu tych słów, gdyby nie Bach, gdyby nie to jego muzyczne zdumienie nad ich treścią. Odkrywszy wówczas dzięki muzyce Bacha sens tych słów pozostałem przy nim na zawsze, przeżywam go wciąż na nowo, żyję nim do dziś. Poniekąd żyję nowym życiem mocą tamtego odkrycia i przeżycia. Ośmielam się też – dlatego właśnie – sądzić, że i Bach przeżyć musiał podobny wstrząs, wstrząs zdumienia z odkrycia sensu tych słów, i że to swe zdumienie zechciał na zawsze utrwalić i utrwalił w tej muzyce. Sądzę, że i on sam z początku nie dowierzał temu, co czytał, że oczy przecierał i pytał, czy nie zaszła jakaś pomyłka w dostarczonym mu tekście katolickiego *Gloria*. A jeśli to nie była pomyłka? Jeśli to pomyłką nie jest?

Jeśli nie zaszła pomyłka, to znaczy to, iż tymi słowy wypowiada się *rzeczywisty* – choć dotąd nikomu z imienia nieznany – *człowiek*. Znaczy to, iż anonimowy autor hymnu *Gloria in excelsis Deo* wypowiada w nim *rzeczywistą* – i taką! – „potrzebę” i rzeczywiste możliwości człowieka dziękowania Bogu. Rzeczywiste możliwości, ich rzeczywistą skalę. Czy nie odpowiada on tu jednak przede wszystkim na rzeczywiste wezwanie i wyzwanie? On tu nie zamierza ani nie chce nikomu niczego przecież dowodzić, o niczym przekonywać. Z pewnością nie interesowałoby go specjalnie jakieś sympozjum naukowe na temat wdzięczności. Ten człowiek nieznany pragnie tylko jednego: dziękować Bogu. I tak Mu właśnie dziękować: *propter magnam gloriam Tuam!* Słowa tymi świadczy po prostu o tym, co przeżywa, czym żyje, czego doświadcza.

Skromność kazała mu widocznie ukryć przed nami swe imię. Lecz rozpierająca go od wewnątrz potrzeba dziękowania Bogu kazała mu zarazem całego siebie, wszystkie swe ludzkie możliwości *wrazić* niejako w swe własne słowa podzięk i w ten sposób całego siebie w nich i poprzez nie *wrazić*, poniekąd też – w ten właśnie sposób – przedstawić, wyrazić w nich

ludzkie po prostu możliwości dziękowania, swe własne i ponieważ nas wszystkich. Objawił człowieka w rzeczywistych możliwościach dziękowania mocą faktu takiego właśnie dziękowania, mocą rzeczywistego dziękowania Bogu w taki oto sposób: *propter magnam gloriam Tuam gratias Tibi agimus!* Objawił i potwierdził te możliwości faktem tych oto słów!

Może jednak potrzeba takich jak Bach dopiero, by nam wymowę tych słów, i potrzebę ich wypowiedzenia, muzyką – niczym palcem – pokazać. Trzeba niekiedy palcem niejako pokazywać słowa, by te z kolei pokazywały, czyli odsłaniały to, co same w sobie znaczą i oznaczają: by ujawniały „rzecz samą w sobie”. I „wartość samą w sobie”. Tak właśnie, ów autor nieznany mocą faktu swych słów, Bach zaś mocą swej muzyki, pokazują, iż możliwe jest to, co zdać się może absolutnie niemożliwe: iż człowiek – potrzeba w taki oto sposób chce i potrafi dziękować, że jest w stanie wyzwolić w sobie tak szczytowe możliwości, że władny jest wyjść niejako z kręgu samego siebie i przekroczyć siebie zafascynowany i porwany odkryciem tego, kim jest Bóg.

Można tu oczywiście pytać, czy ktoś, kto tak dziękuje, kto takie „*propter*” dla swej wdzięczności znajduje, kto Bogu za Jego chwałę dziękuje, czyni to wciąż jeszcze własnymi tylko możliwościami czy też wychodzi ponad swe zwykłe możliwości zdeponowane w pokładach swej ludzkiej natury – dysponując możliwościami danymi mu *ad hoc* przez samego Boga? Ale czyż ważne jest aż tak bardzo pytanie, w jaki sposób coś jest możliwe, wobec fascynującego faktu, iż to coś jest możliwe?! Mocą faktu właśnie! Zwłaszcza że wszelkie możliwości i moce człowieka są i tak dane mu – koniec końców – przez Boga.

Nie bardzo też wiem, czym się ten rodzaj dziękowania Bogu różni od wielbienia Boga. Pewnie i Bach tego nie wiedział, ale chyba też wcale o to nie pytał. On się po prostu zdumiał nad tym, co zobaczył, co odkrył. Pozwolił się porwać odkryciu i sam zaraz próbował – mocą swej muzyki – porwać innych prawdą tego odkrycia. „Zaraziwszy się sam” – z wyboru – tym dziwnym dziękowaniem nieznanego autora słów: „*Gratias agimus Tibi propter magnam gloriam Tuam!*” – sam zaczął próbować ten właśnie sposób dziękowania Bogu przyswajać innym, używając tym niezwykle słowom głosu swej muzyki. Życmy sobie wszyscy takiego słów cudzych przywłaszczania! Słów, i stojących za nimi motywów dziękowania. Sądzę, że Bach przeżywszy rodzaj osłupienia tym wzlotem ludzkiego ducha w stronę Boga, wzlotem stworzenia, które – wpatrzone w swego szczodrego Dawcę – umie zapomnieć się, oderwać od swych bied i trosk, przekroczyć ich pułap: pułap chcenia czegokolwiek ze względu na samego siebie tylko, i cieszyć się samym Bogiem po prostu, radować Jego własną chwałą i wspaniałością: *propter magnam gloriam Tuam* – przyswaja sobie natychmiast doświadczenie owego anonimowego chrześcijanina i pragnie je natychmiast językiem muzyki wszystkim innym przekazać. Wyjść z kręgu tego, co tylko *appeti-*

bile, w stronę tego, co *affirmabile*! Czy nie jest to jedynie właściwa odpowiedź na odkrycie i przeżycie Dawcy, który obdarowując nie kieruje się niczym innym jak tylko wspaniałomyślną szczodrością?

Przypomina się Samarytanka, która również odkrywszy dar i Dawcę oczekującego na nią przy Jakubowej studni zostawia przed Nim swój dzban, zapomina, po co przyszła, i biegnie natychmiast z wieścią o niezwykłym Dawcy do mieszkańców miasteczka. Pragnie tylko jednego: odkryć Go wszystkim. Jaki ma w tym interes? Jak zakwalifikować jej „Pójdźcie, zobaczcie i wy!”?

Ludzie tacy jak Samarytanka, tacy jak autor hymnu *Gloria* czy Bach, widzą inne problemy, niż te, które my może mamy ochotę stawiać w ramach seminariów czy sympozjów na temat wdzięczności. Oni wcale nie pytają, czy i jak możliwa jest taka wdzięczność: „*propter magnam gloriam tuam*”, czy i jak możliwe jest takie dziękczynienie. Problemem dla nich jedynym staje się to tylko, by oni sami i wszyscy inni wraz z nimi znaleźli się w kręgu tak dziękujących, by przyłączyli się do chóru śpiewających taki właśnie hymn dziękczynienia: *propter magnam gloriam Tuam*! Sądzę, że Bach przeczytawszy powyższe słowa doznał wstrząsu, z którego już nigdy się nie wyzwolił i z którego już nigdy się – z własnego wyboru – wyzwolić nie zechciał. Czy nie był to przełom? Samoodkrycia i powtórnych narodzin? Jakże mógłby chcieć... zechcieć się wyzwolić od czegoś, co stanowi szczyt wyzwolenia człowieka w człowieku, najwyższy z możliwych: Uczestniczyć w chwale należnej Prawdzie dlatego, że jest... Prawdą?! Czy jednak to, czego na tym szczycie *de facto* ze wszech miar pragniemy, nie pozostaje nadal tym, czego nade wszystko i ze wszech miar pragnąć powinniśmy?

Traktuję to pytanie jako retoryczne. Gdyby jednak miało ono być jeszcze dla kogokolwiek z nas problemem, to proponuję zostawić jego rozstrzygnięcie do czasu naszego wspólnego spotkania z Bachem w domu chwały naszego Ojca: *in visione*. Czy nie rozbrzmiewa tam wciąż owa nieśmiertelna muzyka: „*Gratias agimus Tibi propter magnam gloriam Tuam!*”?

Istotnie, nie wydaje się rzeczą przypadkową, że Bach do tej samej dokładnie muzyki powrócił na zakończenie swej *Mszy h-moll*. Tą muzyką ona się także kończy. Nie umiał najwidoczniej – i nie chciał – się z nią rozstać. Ten geniusz niewyczerpanych możliwości twórczych nie chciał niczego innego, niczego nowego komponować. Zdecydował się włączyć na koniec ów temat z *Gloria*. Tak oto *Gloria* mszy przechodzi w jej *Finale*... Dlaczego? Rzykuję odpowiedź – także do sprawdzenia *in visione*: Bach „musiał” w ten sposób mszę zakończyć, by móc jej nigdy nie kończyć, by trwała wiecznie, by zamienić ją w dziękczynienie bez końca, w nieustające: *propter magnam gloriam Tuam*! By słowa hymnu dziękczynienia złączyły się w jedno – niby wody rzeki z bezkresem wód oceanu – ze słowami hymnu uwielbienia.

Osobliwe. Eucharystia znaczy dziękczynienie.

2. OD: AMOR ERGO SUM – DO: AMO ERGO SUM

a) DOŚWIADCZENIE I PYTANIA

Aby refleksja nad obdarowywaniem i dziękowaniem nie była jedynie fantazjowaniem, winna wyrastać z danych doświadczenia i na nich wyłącznie się opierać. Czy dysponujemy takim doświadczeniem? Sądzę, że jest to retoryczne pytanie. Nie potrzebujemy też zgadywać dopiero, w którym miejscu bije jego źródło, gdzie znajduje się więc ów locus anthropologico-ethicus gratitudinis, u którego zresztą wszyscy się w jakiś sposób sami odnajdujemy i ze sobą spotykamy. Z niego to samorzutnie wyrasta potem wszelka dalsza refleksja o wdzięczności, w nim się zakorzenia i znajduje swe poznawcze uprawomocnienie. Myślę, że jest to ów szczególny czas i miejsce, gdy osoba – niekiedy sama tym najzupełniej zaskoczona – czuje wobec drugiej osoby samorzutną potrzebę wypowiedzenia tych prostych słów: „Jak dobrze, żeś jest!”³

Osobliwe, nie pojawia się tu wcale słowo „miłość”, a przecież dla nikogo bodaj nie ulega kwestii, że chodzi tu o jakieś jej pierwotne doświadczenie i o jej wyznanie. Jeśli jednak tak, to czy nie trzeba nam i czy nie wystarcza wczytywać się w sens tych właśnie słów, by odczytać źródłowe, najgłębsze znaczenie tego również, co to znaczy „miłować”, „kochać”? Istotnie, trzeba nam więc także dlatego pozostać po prostu w kręgu doświadczenia, na służbie którego stoją słowa: „Jak dobrze, żeś jest!”, jego zasoby ujawniać, z jego zasobów czerpać. Jaką tedy treść znaczeniową niosą z sobą i wyrażają tego rodzaju wyznania?

Na czoło wysuwa się tu niewątpliwie odkrycie i stwierdzenie istnienia tej oto drugiej osoby jako niezwyklej wartości („Jak dobrze, żeś jest!”) i zarazem jej niepowtarzalności jako nie mniej zdumiewającej, niezwyklej – i uszczęśliwiającej jej odkrywcę – wartości („Jak dobrze, żeś ty właśnie jest!”). Czyż bowiem słowa te nie wypowiadają – w różny sposób – tego oto: „Istnienie twoje odkrywam i przeżywam jako niezwykle dobro i zarazem jako niezastąpioną, czyli wyjątkową tout court – dla mnie – wartość i obdarowanie!”? „To także dla mnie dobrze, żeś jest!” Chyba i tu chodzi znowu o retoryczne tylko pytanie. Czy jednak właśnie fakt – który przyjmuje zarazem postać aktu! – wypowiedzania tych oto słów nie dodaje czegoś nowego i istotnego jeszcze do ich znaczenia? Czy mianowicie sam akt ich wypowiedzania, akt manifestowania ich treści, nie jest już jakąś próbą – inicjalnego przynajmniej – dziękczynienia, próbą udzielenia odpowiedzi na ten dar, czyli próbą przyjęcia istnienia tej

³ Por. J. Pieper, *O miłości*, Warszawa 1975, s. 28; por. również T. Styczeń, *Miłość a sens życia*, w: Jan Paweł II, *Redemptor hominis. Tekst i komentarze*, pod red. Z. Zdybickiej, Lublin 1982, s. 101 n.

oto drugiej osoby jako niezwyklej wartości i zarazem uszczęśliwiającego daru?

Istotnie, gdyby tylko nieco głębiej wejść w intencje osoby wypowiadającej wobec drugiej osoby słowa: „Jak dobrze, żeś jest!”, można by bez trudu wydobyć z zasobu tejże intencji co najmniej wolę uwiecznienia istnienia drugiej osoby. Niekiedy zresztą wcale nie trzeba tego momentu wydobywać dopiero z ukrycia. Staje się on bowiem wprost tematem wyznań: „Jeśli cię nie obdarzam życiem bez końca, to nie dlatego, że tego nie chcę, lecz tylko dlatego, że nie mogę uczynić tego, co przede wszystkim i najbardziej uczynić bym chciał i uczynił, gdybym mógł: obdarzyć cię nieśmiertelnością”.

Nie mogę tego, co przede wszystkim chciałbym móc: obdarzać drugiego istnieniem bez końca! I tak właśnie za nie dziękować. Przeżycie tej dysproporcji to doświadczenie, które nieodłącznie współ-towarzyszy odkryciu niezwykłości i niepowtarzalności istnienia drugiej osoby, jak też potrzebie współmiernego dziękowania za jej istnienie, za zawarte w nim obdarowanie, potrzebie dziękowania za dar, że jest.

Wszystko to jednak stanowi wciąż jeszcze jakby wkroczenie w przedsiönek zaledwie tego, co stanowi samo centrum, a co tu określiliśmy nazwą locus anthropologico-ethicus gratitudinis. Najgłębsze bowiem i zarazem najwyraźniej zaartykułowane wyzwanie sprostania potrzebie dziękczynienia za to, że druga – ta oto konkretna osoba – jest, istnieje, człowiek przeżywa dopiero wówczas, gdy z ust tej właśnie osoby dane mu jest usłyszeć słowa: „Również i ja przeżywam twoje istnienie jako obdarowanie. Bez ciebie, bez twojego istnienia, i dla mnie cały świat ten stałby się opustoszały, przestałby być tym samym światem, nie byłby domem. I ja nie mogę ciebie obdarować istnieniem bez końca, lecz chcę wszystko dzielić z tobą. Mam niewiele, lecz chcę ci dać i daję ci to wszystko, kim jestem: siebie, bez reszty. Przyjmij mnie jako dar dla ciebie! Totus tuus! Tota tua!”

Ośmielam się sądzić, że jeśli nie same użyte tu werbalne formuły, to w każdym razie kryjące się w tych słownych ujęciach treści stanowią wyraz nader częstych i bliskich nam wszystkim doświadczeń i przeżyć. „Jam twój/ twoja – na zawsze!” – czyż to nie doświadczenie życia?

Lecz tak samo jak wyżej, tak i tu wraz z tymi doświadczeniami i przeżyciami idą w parze doświadczenia i przeżycia nękających nas dysproporcji, dysproporcji prowokujących do stawiania pytań, które dane doświadczenia zamieniają z miejsca w dane do wyjaśnienia. Wszak właśnie oczywistości doświadczenia stają się tu oczywistościami dręczącej dysproporcji pomiędzy dogłębnie ludzkim „chcieć” i „móc”, a dokładniej, dysproporcji pomiędzy dogłębnie ludzkim „chcieć” i dogłębnie ludzkim „nie móc”. Albowiem przyjęcie tak niezwyklego daru ze strony drugiej osoby, jakim jest jej całkowity dar z siebie dla mnie, jest możliwe wtedy dopiero, gdy wyrazi się z mej strony również w formie wzajemnego daru z siebie, a więc daru całkowitego i bez reszty, dla niej. Lecz właśnie tu wyłania się natychmiast py-

tanie: Czy należysz sama do siebie na tyle i czy ja sam przynależę do siebie na tyle wystarczająco, byś mogła mnie sobą obdarzyć i bym mógł ja ciebie samym sobą obdarzyć, skoro przecież najgłębszy fundament nas samych, nasze własne tajemnicze istnienie, najewidentniej nie leży w gestii nas samych, przeciwnie, wymyka się całkowicie naszej własnej nad nim mocy? Nasze najgłębsze pragnienie złożenia sobie wzajemnego daru z siebie bez reszty zdaje się rozбивać o jego niespełnialny warunek: trzeba by stać się samemu panem i dawcą własnego istnienia. Naszemu pragnieniu daru: pragnieniu wzajemnego obdarowania się samymi sobą, trzeba by przydzielić takiej mocy władania nad naszym własnym istnieniem, by zależało od nas, by stało się nieutrącalne. Dopiero wówczas moglibyśmy na tyle dostatecznie samych siebie posiadać, by być w stanie uczynić sobie wzajemny dar z siebie dla siebie. Któż z nas posiada tę moc, skoro nie ma mocy nad swym własnym istnieniem? Kto zatem może – nie czyniąc się sam ofiarą własnych złudzeń – taki dar dać – i za taki dar dziękować, przyjmując go aktem czynienia takiegoż daru z siebie dla drugiej osoby? Werner Bergengruen daje wyraz temu oto doświadczeniu w strofach poetyckich:

Ich bin nicht mein.
Du bist nicht dein.
Keiner von uns kann
Sein eigen sein...

Ich bin nicht dein
Du bist nicht mein
Keiner von uns
Kann des anderen sein.

(*Zu Lehen*)

Czyż poeta nie ma racji? Tak oto oczywistości stanowiące treść naszych najgłębszych doświadczeń i przeżyć przekształcają się w najbardziej natarczywe i najgłębiej nas nurtujące problemy. Nie bez powodu nazwano je – za Fiodorem Dostojewskim – „przeklętymi pytaniami”. A jednak: któż z nas mógłby nazbyt łatwo rozstać się na zawsze z pragnieniem nieodwołalnego przynależenia do umiłowanej i miłującej osoby? Czyż słowa: „Twoim chcę być – na zawsze!”, wyrażające wolę nieodwołalnego związania się – najwolniejszym z wyborów – z ukochaną osobą nie są „żywcem wzięte” z codziennego powszechnego doświadczenia ludzi?

Dopiero w perspektywie tych pytań, i doświadczenia, które do ich stawiania prowokuje, widzi się problem daru i wdzięczności w całej właściwej mu głębi i wymiarze. Rozwiązać ten problem to udzielić zarazem odpowiedzi na pytanie dotyczące najgłębszego sensu istnienia człowieka i jego tożsamości, a także – jak widać – odpowiedzi na pytanie dotyczące najgłębszego wymiaru ludzkiej miłości. Brzmi ono: Od kogo musimy się przede wszystkim przyjąć, aby móc naprawdę należeć do samych siebie, to znaczy, komu

– i jak – musimy i winniśmy przede wszystkim za dar samych siebie: za to, że jesteśmy, i za to, kim jesteśmy – dziękować?

b) W STRONĘ ODPOWIEDZI

Istotnie, nic tak głęboko i wyraźnie jak niekonieczność, przygodność, mego własnego istnienia nie ujawnia mi jego radykalnej darmowości. Darmowość istnienia – to inne imię jego przygodności. Nie było mnie, a oto jestem. Nie musiałem więc być, a oto jestem. Nie miałem żadnego na to wpływu, by zaistnieć, a oto jestem. Jestem więc, ponieważ zostałem samemu sobie podarowany. Dlatego też jestem tym, kim jestem, ponieważ zostałem samemu sobie podarowany. Jestem z daru, więc jestem. Owszem, jestem darem, oto dlaczego jestem.

Ale i nic głębiej i wyraźniej od doświadczenia stojącego u podstaw wyznania: „Jak dobrze, żeś jest!”, nie ujawnia mi, jak bardzo również istnienie drugiej osoby, umiłowanej, jest niekonieczne, przygodne, i jak bardzo wskutek tego także jej istnienie – a na jego przygodnym fundamencie wszystko to, kim ona jest w swej niepowtarzalności – z daru jest. Jesteś, i jesteś tym, kim jesteś, tobą właśnie, ponieważ jesteś darem. Z daru jesteś, więc jesteś.

Ale z czyjego daru, czym darem? Komu trzeba zań dziękować? Przecież nikt nie może sam sobie siebie podarować, być swoim własnym dla siebie darem. Istotny udział rodziców w zaistnieniu umiłowanej osoby nie podlega zakwestionowaniu. Ku nim więc musi się kierować wdzięczna myśl tego, kto mówi: „Jak dobrze, że jesteś!” Lecz wskazanie na ich udział w zaistnieniu nie jest wcale wskazaniem na odpowiedź, która usuwa nasze pytanie. Pytanie to bowiem jawi się przede wszystkim w chwili spoglądania na rodziców bezsilnie oplakujących przedwczesną śmierć swych umiłowanych dzieci. Dlaczego wciąż jakiś Kochanowski oplakuje bezradnie odejście swej ukochanej Urszuli? A z drugiej strony: jakże często rodzice stają się rodzicami i mają dzieci, których wcale mieć nie chcieli i nie chcą, których wcale nie chcieli obdarować darem nad dary: tym, że są?

Jakaż zatem moc zadziałała i była konieczna, i jaka zarazem miłość zadziałać musiała i była nieodzowna, i działać nieustannie musi, by człowiek zaistniał i żył? I jaka moc i miłość zarazem nieprzerwanie i bezpośrednio działa, skoro człowiek, ten oto i tamten, każdy z osobna, przecież jest, żyje!? Czyż nie jest tu konieczna moc równa *wszechmocy*, owszem, moc i miłość równa *wszechmocnej i absolutnej miłości*? Czyż nie jest tu konieczne „Jak dobrze, żeś jest!” miłującego Stwórcy? I czy dopiero Jego stwórcze „Jak dobrze, żeś jest!” tu nie wystarcza? Czy nie potrzeba więc dopiero spotkania miłości z *wszechmocą*, by móc rozwiązać zagadkę tajemniczego daru zaistnienia i istnienia każdej z osobna ludzkiej niepowtarzalnej osoby?

Tak oto oczywistość doświadczenia stojącego u podstaw wyznania: „Jak dobrze, żeś jest!” – uruchamiająca proces logicznego tłumaczenia faktu przygodnego istnienia ludzkiej osoby – prowadzi najkrótszą drogą w kierunku prostej i jedynie zadowalającej, choć zarazem zdumiewającej odpowiedzi na nasze pytanie. U źródeł zdumienia, którego wyrazem jest każde ludzkie wyznanie: „Jak dobrze, że jesteś!”, stoi akt stwórczego wyznania Osobowej Miłości i Wszechmocy, Jej „Dobrze!”, Jej „Bardzo dobrze!” (Genesis), towarzyszące Jej „Stań się!”, Jej „Bądź!”, skierowane w tak jedyny i niepowtarzalny sposób do każdej z poszczególna osoby ludzkiej, że odtąd bez tej oto stwórczo powołanej do istnienia osoby cały świat – z perspektywy samej wszechmocnej stwórczej Miłości – nie byłby po prostu tym samym światem!

Skoro zatem prawda o darze i wdzięczności za dar odsłania się nam dopiero wraz z odsłanianiem się tajemnicy wzajemnego daru osoby dla osoby i tylko poprzez uchylenie tej tajemnicy może być do końca wyjaśniona i zrozumiana, to nie powinno nikogo zaskoczyć, że w imię jej poznania filozof – z własnego impulsu – dociera na ten sam próg, na którym wielki Jakub wołał: „Pan tu był, a ja nie wiedziałem!” Dociera na ten próg, by powtórzyć za nim to samo i dopełnić: „Pan tu jest! Bóg jest tuż! Pośród nas!”

Wszak tylko dlatego jestem i mogę w ogóle być, ponieważ mój Stwórca obdarza mnie mną we mnie. I tylko dlatego jesteś i możesz w ogóle istnieć, że Stwórca twój obdarza cię tobą w tobie. Istnieję, będąc Jego darem. Istniejesz, będąc Jego darem. Amor (amatus sum) – ergo sum. Amatus es – ergo es. „Quia Deus bonus est, nos sumus!” (św. Augustyn).

Lecz nie tylko to. Bóg nie musi przecież nikogo stwarzać. Nie musi w szczególności nikogo obdarzać tym, by zaistniał i istniał jako ta oto właśnie jedyna, niepowtarzalna osoba. Pozostaje On nieskończenie wolny w swej stwórczej decyzji. Gdy jednak już decyduje się powołać mnie do bytu, czyli obdarować mnie mną samym, nie może tego uczynić inaczej jak tylko obdarzając mnie zarazem Nim samym! Gdyż to On sam musi być i działać nieustannie we mnie dając mi mnie, lecz przez to także dając mi niepodzielnie Sam siebie, abym w ogóle zaistniał i był. On też musi być w tobie i w tobie nieprzerwanie działać dając ci ciebie tobie, ale przez to dając ci także niepodzielnie Samego siebie, abyś w ogóle zaistniał i żył. On musi być najbardziej radykalnie – cały! – w nas samych, intimior intimo nostro, in actu et in persona, abyśmy w ogóle zaistnieli i byli, a przecież w końcu istniejemy. On musi w nas osobiście, bezpośrednio działać stwórczo, by mogło w nas trwać i trwać nieustannie owo stwórcze obdarowywanie, bez którego by nas wcale nie było, bez którego nie moglibyśmy zaistnieć i trwać. A przecież trwamy, przecież jesteśmy! Sam fakt zatem, że jesteśmy, żeś jest, że jestem, wystarcza, by ultimatywnie stwierdzić: Bóg-Stwórca, obdarzając nas stwórczo samymi sobą, daje się nam sam zarazem cały i niepodzielnie w darze! Actiones sunt suppositorum. Nie ma daru bez dawcy. Nie ma więc i takiego daru bez

takiego Dawcy! Stąd nieodwołalna waga twierdzenia: ponieważ Bóg-Stwórca daruje się nam bez reszty, jesteśmy. Quia Deus Ipse dat seipsum nobis nos sumus.

Nie tylko zatem siebie samego muszę w sobie spotkać, jeśli naprawdę chcę spotkać się z samym sobą. Nie tylko samego siebie musisz w sobie spotkać, jeśli naprawdę chcesz spotkać się z samym sobą. Zatem: Czym musi być również dar z mej osoby dla drugiej osoby, i czym musi być nadto przyjęcie drugiej osoby w jej darze z siebie, jeśli dar z siebie samego dla drugiego i dar drugiego dla mnie ma naprawdę być darem z siebie bez reszty? I na czym mogłaby i musiała polegać wdzięczność za taki dar? I do kogo przede wszystkim być skierowana?

Rzecz zrozumiała, samo-darowanie-samego-siebie człowiekowi przez Boga-Stwórcę nie jest i nie może być jedynie informowaniem człowieka przez Boga o tym darze, jedynie wpisanym w jego osobowy byt komunikatem do ewentualnego odczytania i umieszczenia go na liście nieobalalnych też obiektywnie ważnej antropologii metafizycznej. Słowo Boga o człowieku jest zarazem, owszem, przede wszystkim, słowem Boga do człowieka. Inna aniżeli ta właśnie antropologia gubi swój sens, swe jedyne: „po co?” Ten DAR, to Boga: „totus tuus!” względem człowieka – jest wyznaniem miłości człowiekowi przez Stwórcę i oczekiwaniem na odpowiedź, więcej, oczekiwaniem na przyjęcie daru. Jest jedynym w swoim rodzaju wezwaniem do komunii we wzajemnej wymianie darów. Człowiek staje się teofanią par excellence. Jest tym, „gdzie” go Bóg stwórczo spotyka, i zarazem tym, kogo spotkać – owszem, przez kogo jako dar być przyjętym – pragnie. Trudno by bodaj znaleźć słowa wyrażające lepiej i bardziej naocznie zarazem tę właśnie realną – i jednocześnie tak niewiarygodnie wyróżnioną – sytuację człowieka od słów wypowiedzianych przy Jakubowej studni: „Si scires donum...” „O, gdybyś poznała dar Boży, i Tego, który ci mówi: Daj...!” (J 4, 10).

c) PRÓBA INTERPRETACJI

Cóż to jednak wszystko znaczy dla mego własnego autentycznego samorozumienia, a następnie dla mego autentycznego utożsamienia się z sobą mocą wolnego wyboru prawdy o sobie, czyli – koniec końców – wyboru samego siebie, samowyzboru? Cóż to wszystko znaczy dla mnie jako podmiotu poznania i podmiotu wolności w obliczu faktu, iż jako człowiek jedynie dzięki temu ku mnie zwróconemu samoudzielaniu się Osobowego Stwórcy jestem, i jestem tym, kim jestem, sobą właśnie?

W przedmiotowo-bytowym wymiarze pierwotnej antropogenezy, czyli stwórczej konstytucji mego własnego jestestwa, znaczy to, że – jak już wspomniano – Bóg, mój Stwórca, z wnętrza tegoż mojego jestestwa osobiście mnie wzywa, w imię prawdy o mnie, do rozpoznania siebie jako Jego

daru. Stwórcy wyznanie: Miłuję cię, więc jesteś – Amo te, ergo es – wpisane w mój osobowy byt ludzki, niejako „czeka” tu nieustannie na mnie jako na swego własnego odkrywcę. Na moje samo-przebudzenie. Na moją odpowiedź i na moje przyjęcie.

Natomiast w podmiotowo-bytowym wymiarze wtórnej antropogenezy, tj. poznawczo-kreatywnej i moralnie-kreatywnej samokonstytucji osobowego „ja” przez „ja”, znaczy to, że jako podmiot samopoznania dopiero wówczas sam siebie widzę i odczytuję w prawdzie o samym sobie i dopiero wówczas sam się ze sobą poznawczo utożsamiam, gdy – mocą własnego aktu poznania – uznaję się za dar swego Osobowego Stwórcy, gdy więc własnym aktem poznania in actu stwierdzam: jestem, gdyż jestem stwórczo miłowany. Amor – ergo sum. Znaczy to jednak także, że już na poziomie samopoznania zostaję wezwany do dokonania radykalnego zwrotu antropologicznego w imię odkrytej prawdy o samym sobie, zwrotu, który polega na tym, iż prawda o mnie samym przestaje być dla mnie czymś tylko, czego szukam i o czym sam ze sobą wyłącznie rozmawiam (soliloquium), a staje wobec mnie zarazem – i przede wszystkim – jako Ktoś wzywający mnie, Kto „pierwszy” mnie szuka i przywołuje, i z Kim już tylko mogę o sobie rozmawiać (colloquium), Kto staje wobec mnie jako ciągle obecna we mnie Osobowa Prawda, z którą – jako jej wolny i odpowiedzialny słuchacz – przechodzę na „ty”. Znaczy to wreszcie, że jako podmiot wolności dopiero wówczas – mocą aktu wyboru siebie – wybieram naprawdę samego siebie, naprawdę spełniam sam siebie, naprawdę wybieram przynależność do samego siebie i naprawdę posiadam dopiero siebie, czyli staję się rzeczywiście samym sobą i po prostu sobą jestem, gdy mocą tegoż wolnego wyboru przyjmuję samego siebie od Boga mego Stwórcy jako Jego dar, gdy więc mocą tego przyjęcia siebie bez reszty od Niego – wybieram całą przynależność do Niego, gdy Go po prostu tym przyjęciem siebie bez reszty od Niego jako Jego daru – samym sobą bez reszty jako Jego darem obdarzam, gdy Mu, innymi słowy, dziękuję za siebie jako za Jego dar dla mnie – samym sobą jako moim darem dla Niego mocą przyjęcia siebie bez reszty od Niego jako Jego daru. Skoro jednak przyjęcie samego siebie od Boga jako Jego daru jest – jak to wyżej pokazano – nierozdzielnie związane z przyjęciem Jego samego jako obecnego we mnie Dawcy tegoż daru, przeto wówczas, gdy przyjmuję samego siebie bez reszty jako dar Boga, wypełniam nie tylko sam siebie do końca samym sobą, utożsamiam dopiero naprawdę z samym sobą, staję się prawdziwym SOBĄ, lecz – co więcej! – wypełniam sam siebie do końca nade wszystko mym własnym Dawcą, Bogiem. Zatem, gdy przyjmuję siebie samego od Boga jako Jego dar, obdarzam Boga – mocą tego przyjęcia – nie tylko mną samym bez reszty, lecz obdarzam Go także, owszem, przede wszystkim, samym Bogiem bez reszty! Boga Bogiem obdarzam, gdy przyjmuję się odeń jako Jego dar!

Czyż nie to właśnie znaczy: Bogu Stwórcy dziękować za siebie, jak trzeba?

Ośmielam się traktować to pytanie jako retoryczne. I chociaż trudno bez lęku coś podobnego wypowiedzieć i głosić, ośmielam się powtórzyć: tylko gdy przyjmuję siebie od Boga jako Jego dar i przez to przyjęcie – Boga, mego Dawcę, mną samym i Nim samym we mnie obdarzam, dziękuję dopiero Bogu – jak trzeba – za siebie samego. I tylko wówczas, gdy Bogu w ten sposób za siebie dziękuję, należę dopiero do siebie, owszem, należę na tyle dopiero do siebie samego, i na tyle wypełniam się samym sobą, bym mógł autentycznie być sobą, i dostatecznie samego siebie posiadać, aby móc siebie w darze dać, by być więc w stanie odpowiedzialnie komukolwiek za cokolwiek, przede wszystkim jednak za jego dar z siebie dla mnie, dziękować. Oto dlaczego też dopiero wyznania tego rodzaju, jak: „Ojcze, swoim jestem dopiero, gdy jestem Twoim” (K. Wojtyła, *Promienowanie ojcostwa*), całkowicie i bez reszty Twoim, „Totus Tuus!”, „Tota Tua!” – znamionują dojrzałe człowieczeństwo, wyrażają pełny jego kształt i stanowią „początek mądrości”. Oto też dlaczego dopiero, gdy tak dziękuję, jestem. Gratias ago, ergo sum.

A przecież wraca ciągle niespokojna myśl: czy człowiek może, jak tu się właśnie twierdzi, Boga Bogiem obdarzać?

Wewnętrzna logika obdarzania i dziękczynienia wydaje się tu nieodparta. A przecież zarazem zaskakuje, owszem, szokuje. Budzić też może obawy. Czy świadomość konieczności i... możliwości dziękowania przez człowieka Bogu w sposób postulowany przez tę logikę nie prowadzi go w świat niebezpiecznych auto-iluzji sycących jego pychę, zamiast utwierdzać i pogłębiać w nim pokorę istoty radykalnie obdarowanej? Dlatego nie uległbym i ja chyba tej logice, gdybym się na tę samą nie natknął pierwiej w zdumiewających słowach Chrystusa: „Kto słucha słowa Bożego, kto przyjmuje je i czyni, ten jest mi matką” (por. Mt 12, 49–50, Łk 11, 28). Albowiem cóż to znaczy: „Ten jest mi matką”? Czy nie znaczy to: Ten daruje mi... mnie?

3. W POSZUKIWANIU ŚWIĄTYNI DZIEKCZYNIEŃIA

a) GDY SZUKAJĄCY ODNAJDZIE...

To, że poszukujący prawdy (Prawdy) od samego początku swej drogi już w jej objęciach się znajduje, nikogo więcej nie powinno tu dziwić. Czyż zresztą ten, kto szuka prawdy, czyniłby to, gdyby od samego początku nie ulegał mocy jej magnetyzującego działania, czy szukając jej nie przekracza od początku progu jej domu? „Nie szukałbyś mnie, gdybyś mnie nie znalazł” (B. Pascal). Istotnie, takie zdanie nie zaskakuje, zwłaszcza gdy się wie, że poszukiwana przez nas prawda o nas samych jest Osobową Prawdą, owszem, Osobową Nieskończoną Miłością Stwórczą. Oto dlaczego Ktoś mógł powiedzieć i mówić: „Jam jest Prawdą...”

Ale gdy poszukujący Nieskończonego dostrzega nagle na swej drodze ku Niemu, że sedno jego problemu jako poszukującego ulega radykalnemu przesunięciu, że tu chodzi nie tyle o odnalezienie Nieskończonego, nie tyle nawet o to, by się pozwolić Mu odnaleźć, ile o to, by Mu *dziękować* i że dziękować to obdarzać Nieskończonego Nieskończonym; gdy poszukujący odkrywa, że wtedy dopiero, gdy Boga Bogiem obdarza, obdarza Go dopiero... samym sobą, co więcej, że wtedy dopiero naprawdę samego siebie odnajduje, owszem, że wtedy dopiero sam siebie do końca spełnia i wtedy dopiero z samym sobą identyfikuje, więcej jeszcze, że wtedy zaczyna dopiero żyć – to jest to zaiste niebywała, szokująca rzecz. To niespodzianka największa z możliwych w życiu i największa z możliwych przygoda życia. Wydarzenie na drodze do Nieskończonego i zarazem wydarzenie na drodze do samego siebie. Jest to wydarzenie, które się poniekąd człowiekowi najpierw przydarza nieoczekiwanie na drogach jego samo-poznania. Czy nie musi się ono stać jednak również, owszem, nade wszystko, jego własnym dziełem i przez to właśnie wydarzeniem wydarzeń na drogach jego wolności? Godziną narodzin do nowego życia, chwilą nowej, fundamentalnej decyzji i podstawowego wyboru?

b) DZIEKOWAĆ TO PRZYJĄĆ DAWCĘ ŻYCIA W DARZE ŻYCIA

Istotnie, odkrycie Nieskończonego we mnie jako mego „Ty” domaga się radykalnego przewartościowania wszystkich wartości, spojrzenia na wszystko w życiu z nowej perspektywy. Jam z Jego daru! Jam Jego dzieckiem! „Moje «ja» na zawsze w Niego wpisane”! (K. Wojtyła, *Wigilia Paschalna*). On jest we mnie – *intimior intimo meo* – dlatego jestem! Zatem: żyć, naprawdę żyć, to dziękować! Czas, który nie jest dziękowaniem, to czas stracony! Więc? Czy nie należy zacząć od radykalnego „przesiedlenia się w życie” w imię jego „*melior pars*”, w poszukiwaniu najstosowniejszego miejsca, by dziękować? Czy nie trzeba zacząć od znalezienia swej Betanii w imię „*unum necessarium*”, w imię tego, co jedynie w życiu konieczne i ważne? Od wkroczenia na świętą górę dziękczynienia, by całe życie zamienić odtąd w jedno nieustające obdarzanie Boga Bogiem, w jedno nieprzerwane „*totus tuus*”, „*tota tua*”, w jedno nieustanne dziękczynienie Ojcu – „w duchu i prawdzie”?

Tak jest! Nic mniej ani też nic więcej. O to dokładnie chodzi. Tyle tylko, że owa świątynia dziękowania „Ojcu w duchu i prawdzie” nie znajduje się wcale gdzieś z dala od życia, na jego uboczu. Świątynia ta znajduje się bowiem w samym życia centrum! Nie o ucieczkę zatem od życia chodzi, lecz o powrót do życia – do jego własnego Źródła! Czyli po prostu o powrót do Dawcy życia w Jego *par excellence* darze, którym jest właśnie życia ludzkiego dar: *humanae vitae donum*. Gdyż właśnie życie, osobowe życie każdego z osobna człowieka wraz z jego jedynym nie-

powtarzalnym obliczem – to „Boży dar”. I dlatego jest to także „miejsce Boże”, miejsce, w którym się najradzykalniej uaktywnia i przez to najbardziej wprost uobecnia in persona sam jego Dawca, Donator in dono, ten, który wprost każdego z osobna człowieka wraz z nim samym także Samym sobą obdarza! Czyż można znaleźć i wybrać miejsce godniejsze od tego, by Bogu dzięki składać za dar, w którym On sam w darze się daje? Czy można znaleźć i wybrać miejsce godniejsze od tego, które sam Bóg wyszukał i wybrał? Czy można więc znaleźć i wybrać bardziej stosowny sposób dziękowania Dawcy życia od okazywania respektu dla osobowego życia jako Jego par excellence daru? Wszak wszędzie tam, gdzie powstaje nowe życie ludzkie, gdzie ono pulsuje, gdzie się poczyňa, rodzi i trwa, tam sam „Ojciec ojcuje”, tam Stwórca sam wznosi dla siebie żywą świątynię, aby Mu w niej dzięki składać przyjmując Jego samego w życia darze – i tak Go właśnie Nim SAMYM obdarzając. Gdzie zatem życie ludzkie, tam Ojciec, tam miejsce święte, tam świątynia dziękczynienia. Zdejm obuwie! Tu dzięki trzeba składać: uznając Boga za Boga, uznając Go za Ojca każdego Jego dziecka w każdym Jego dziecku! Qui potest capere capiat! Kto może pojąć, niech pojmuje!

c) DZIEKOWAĆ OJCU TO PRZYJĄĆ DAR SIÓSTR I BRACI

Poszukujący Nieskończonego, gdy Go raz odkrył i ... pojął, sam się zamyka – swym własnym aktem odkrycia prawdy o Nim i samym sobie, w jej potrzasku, w pułapce prawdy o unii, która jest wezwaniem do osobowej komunii ze swym Osobowym Dawcą. Jest to jednak pułapka, która nie zniewala, lecz wyzwala. „Skazując” się na tę komunię, wybieram nie zależność niewolnika wobec tyrana, lecz przynależność dziecka do Ojca, przynależność, która jest uznaniem więzi ze swym życiodajnym Źródłem, a więc jedyną drogą do pełni życia, do wyzwolenia w sobie swej własnej pełni, do wyzwolenia pełni swej wolności we wzajemnej wymianie darów z siebie, wolności w miłości. „Skazując” się na tę komunię, wybieram – w Ojcu – komunię także ze wszystkimi tymi, których On sam zechciał obdarować ludzkim obliczem, komunię więc z każdą siostrą, z każdym bratem. Kto bowiem odkrył, że każdy bez wyjątku człowiek to ktoś, kogo Stwórca osobiście spotyka, i ktoś, „gdzie” go Stwórca spotyka, ten widzi także, iż nie ma odtąd „tak” dla Boga i... samego siebie! – inaczej, jak tylko poprzez „tak” dla każdego bez wyjątku „miejsca”, w którym trwa Jego stwórcze, nigdy już nieodwołalne, unikalne wobec każdego „ja” z osobna wyznanie: *A m o t e – ergo es!* Miłuję cię – oto dlaczegoś jest! Tu każdy jest... wyjątkiem! Każdy z osobna „Bożym rezerwatem”, strefą czci należnej Stwórcy. Każdy miejscem dziękczynienia.

Odkrywca Nieskończonego mocą odkrycia Go w każdym bez wyjątku żyjącym człowieku zostaje więc wezwany do trudnej wdzięczności. Dzięku-

jąc za dar musi udźwignąć cały ciężar przyjętego daru. „Tak” dla Dawcy życia, tak dziecka, które pojęło, że jest tym, kim jest, ponieważ jest dzieckiem takiego Ojca, znajduje swą przekładnię i wykładnię, owszem, swój właściwy wyraz i niezawodny dla siebie „test prawdy” jedynie i dopiero w bezwzględnym „tak” dla każdego bez wyjątku drugiego. Boga w sobie udźwignie ten dopiero, gdy udźwignie Go w każdym drugim, gdy udźwignie w sobie cały respekt należny – obecnemu w każdym drugim i w sobie – Bogu. Oto co znaczy „czcić Ojca w duchu i w prawdzie”. Oto co znaczy mówić do Boga „Abba”, „Ojcze” – *czynem!* Wszak nie ten jest czcicielem Ojca, który mówi „Ojcze, Ojcze”, lecz ten dopiero, który przyjmuje Ojca w Jego darze, kto Go przyjmuje wraz z darem. Kto Go przyjmuje w Jego „najmniejszym”. Przypomnijmy tu słowa wielkiego Patrona Mediolanu, Ojca Kościoła, św. Ambrożego: „Nazwałś Boga Ojcem. Uprzytomnij sobie do końca coś przez to uczynił!”

Gdy odkrywca Nieskończonego zaczyna tak dziękować, gdy próbuje udźwignąć wielkość odkrytego daru, wówczas zmienia radykalnie bieg dziejów ludzkości, nawet jeśli sobie tego zrazu sam nie uświadamia. Staje się budowniczym autentycznie ludzkiej cywilizacji..., twórcą nowej historii ludzi, historii, w której nikt z nie narodzonych nie musi się już lękać narodzonych, w której najśłabszy z ludzi nie będzie się musiał obawiać silniejszych od siebie. W tej historii bowiem nie ma miejsca na: *Plus vis quam veritas*. W tej historii niepodzielną panuje i jej kierunki wyłącznie wyznacza: *Plus veritas quam vis*. Wyznacza ją zwłaszcza prawda – „*veritas*” – o człowieku pierwsza: że z daru jest! Prawda o braterstwie ludzi z wyboru, prawda o solidarności każdego z każdym i wszystkich ze wszystkimi z wyboru – mocą wyboru Ojca! Mocą wyboru „Bożego daru!”

d) DZIEKOWAĆ TO ODKRYĆ SACRUM W... „PRO-FANUM”

Od czego trzeba zacząć? Czy nie od ponownego odkrycia miejsca, które oznacza „przejście Pana”, *transitus Domini*, „przejście Dawcy życia”, od ponownego odkrycia miejsca i czasu, które sam Stwórca wybrał jako jedynie godne takiego dzieła, jakim jest cud stworzenia? Na miejsce swego przejścia w stronę dokonania dzieła obdarzenia życiem nowej istoty ludzkiej upatrzył On sobie i wybrał – jak wiadomo – samo centrum osobowego zjednoczenia się osób w akcie miłości małżeńskiej. Osobliwe, wielu współczesnych zdaje się wcale już nie dostrzegać tej jego głębi, która zdecydowała o przydzieleniu mu nazwy niezwykle trafnej, nazwy aktu *o d d a n i a*, czyli wzajemnego obdarowania się małżonków sobą. Co gorsza, nasi współcześni zupełnie odwykli od tego, by w tym akcie widzieć ołtarz cudu stworzenia człowieka. A przecież nie zmienia to w niczym sedna sprawy: to jest ołtarz Boga Stwórcy, Boga Miłości i Boga Życia.

Odkrywca Nieskończonego zostaje więc wezwany do ponownego odkrycia dla wszystkich współczesnych więzi małżeńskiej jako *p r a s a k r a m e n t u*, aktu miłości małżeńskiej jako misterium dziękczynienia i uwielbienia „Ojca w duchu i prawdzie” in una-caro-communione, samych zaś małżonków jako kapłanów Boga Stwórcy i szafarzy Jego stwórczej miłości. Odkrywca Nieskończonego zostaje dziś w szczególności wezwany do zburzenia raz na zawsze owego tragicznego muru nieporozumienia, jaki spłyconą cywilizacja oświeceniowo-techniczna wzniosła pomiędzy sacrum świątyni i ołtarza z jednej strony a rzekomym profanum domu i łoża małżeńskiego z drugiej strony. Czyż cześć dla sacrum, wielkie misterium wielbienia Ojca i dziękczynienia Ojcu „w duchu i prawdzie” za taki DAR nie musi się zacząć tam, gdzie dwoje jednoczy się najintymniej w Jego imię? Odkrywca Nieskończonego musi być więc szczególnie uwrażliwiony na świętość miejsca, na progu którego małżeństwo rodziną się stając samo staje oko w oko wobec „testu prawdy” swej własnej tożsamości. Ten zatem, kto w Bogu swego Ojca odkrywa i wyznaje, musi i siebie, i innych uwrażliwić na ów „święty próg”, gdzie jawi się szczególnie dziś groźna dla współczesnych pokusa odepchnięcia Dawcy poprzez odrzucenie Go, w darze, który On jedynie niesie: w darze życia, i nie mniej zdroźna pokusa manipulowania Dawcą poprzez wymuszanie na Nim tego, co można przejąć i co wolno przyjąć tylko i wyłącznie jako Jego dar. Zwłaszcza że właśnie o s o b ą, nie rzeczą, jest ten, kogo daje! Oto dlaczego ochrona sakralnego charakteru tego „miejsca” w małżeństwie, które stanowi próg życia, próg złożony z wolnych decyzji dwojga osób, staje się dziś „testem” i gwarantem przetrwania tego wszystkiego, co oddziela cywilizację życia i miłości od cywilizacji śmierci i nienawiści, tego, co oddziela autentyczną kulturę od jej pozorów, co oddziela autentyczny jej rozwój od krawędzi, za którą zaczyna się jej zmierzch.

Od ponownego odkrycia aktu „oddania się” zacząć więc trzeba! Kto tu źle zaczął, ten wszystko skaził u samego korzenia. Znać trzeba od respektowania dróg i czasów „przejścia Pana” jako Dawcy wszelkiego daru. Tu trzeba Go odkryć i tu przyjąć „w duchu i prawdzie” jako Dawcę w Jego darze, Dawcę w „Bożym darze”, Donatorem in humanae vitae dono... Tylko na tych drogach człowiek odkrywa i przyjmuje również siebie. I tylko na nich buduje, i „ludzkie”, i „Boże” zarazem – w sobie i w drugich. Tutaj jest początek i kryterium wszystkiego, co godne jest imienia autentycznej moralności i religijności. I autentycznej kultury. Gdyż jedynie kultura życia jest żywą kulturą.

ZAKOŃCZENIE

Jak najzwyczajniej wyrazić istotną treść powyższego przesłania? Całe ono zawiera się w owym niezwykłym skrócie, w którym Jezus Chrystus zamknął sedno sprawy: wy tedy, kiedy się modlicie, mówcie: Ojcie nasz!

Czy jednak nie trzeba nam za każdym razem, nim wypowiemy słowa: „Ojcze nasz”, przywieść sobie na pamięć przestrożę wielkiego Ambrożego: „Zdaj sobie do końca sprawę z tego, coś uczynił, nazywając Boga Ojcem!”?

Lublin, 18 maja 1988 r.